

50

Nazywam się Piotr Komierowski. Urodziłem się 29 czerwca 1899 roku. Ojciec nazywał się Konsterty, był właścicielem ziemskim, kupił majątek Sobolów Lesny / powiat bocheński /, ja się tam urodziłem. Matka moja z domu Gniewosz, pochodziła z bardzo dobrej rodziny polskiej. Ojciec przed zakupieniem majątku przez 10 lat przebywał na Ceylonie. Później wyjechał do Londynu, tam grupa Anglików chciała zwiedzać Polskę, więc on jako Polak, pojechał z nimi / miał być tłumaczem /. Przyjechali do Polski, ojciec był z nimi w Bochni, Wieliczce. Potem w Lwowie był bal poślubny dla nich i na tym balu spotkał śliczną, młodą pannę i tak się mi spodobała, że poślubiłem się ze swoimi angielskimi przyjaciółmi. Stwierdził, że znalazł swoją żonę i zostaje. Rzeczywiście ożenił się z nią, mimo niechęci ze strony jej rodziny.

Ja miałem brata bliźniaka /umarł 11 lat temu / nazywał się Paweł Komierowski. Urodziliśmy się na św. Piotra i Pawła, więc trudno było inaczej nas nazwać. Ja i mój brat skończyliśmy Politechnikę Lwowską, ja na wydziale mechanicznym, on na wydziale elektrotechnicznym. To było w 1927 roku. Jeszcze wcześniej w 1916 roku zmarł ojciec i po roku czy po dwóch latach przenieśliśmy się do Lwowa. Mieszkałiśmy tam z matką, bratem, niezamężną siostrą ojca na ul. Plac Łąbrowskiego 2. Miałem mały pokój i przez pewien czas mieszkałem tam z moim przyjacielem Kazimierzem Dachoskim.

Przed wojną byłem oficerem - porucznikiem 8 Dywizjonu Samochodów Pancernych w Grudziążu. Gdy rozpoczęła się wojna nie brałem udziału w walkach. Mój brat był na froncie sowieckim i brał udział w obronie Lwowa. Ja spotkałem swojego przyjaciela kapitana Kazimierza Kusanowskiego i on mnie zwerbował jako kuriera oficera łącznikowego, jeździłem motocyklem z rozkazami czasem bardzo daleko, chyba stacjonowałem we Lwowie.

Pamiętam jak Rosjanie wkroczyli do Polski, byłem wtedy w Lwowie, wjeżdżali czołgami. We Lwowie było wtedy bardzo dużo Rusinów, widziałem jak oni zakładali sobie czerwone opaski, wskakiwali na czołgi i serdecznie ich witali, chcieli się z nimi zbratać. Sowieci zaczęli wywozić ludzi. Z mojej dalekiej rodziny wielu wywieźli Katarzynę Mirską z dwumiesięcznym synkiem. Mieszkała ona wraz z mężem w dzielnicy żydowskiej, którą wysiedlano. Z Kasią na ochotnika pojechała jej siostra Teresa Blńska. Ja byłem wtedy zadurzony w Teresie i nie zawahałem się, jak ona jedzie to i ja. My domyślaliśmy się, że ten obóz koncentracyjny jest blisko Lwowa, wresztą mi było wszystko jedno, ~~xxixxxix~~ ongiąłem być tylko blisko Tereni. Wyruszyliśmy transportem w którym było ok. 90% Żydów. To było chyba wczesnym latem 1940 roku. Jechaliśmy w zwyczajnych bydłowych wagonach, do każdego mieściło się ok. 40 ludzi. Jechała z nami Marysia - służąca Kasi i Tereni, ale w czasie jazdy zapoznała się bliżej z ochroną z NKWD i odeszła od nas. Początkowo jedzenia nie brakowało, bo każdy miał coś w zapasie. Po kilku dniach jazdy bez zatrzymywania uelżyliśmy głosy z sąsiednich wagonów domagające się jedzenia i picia. Przez cały czas nie wiedzieliśmy gdzie jedziemy. Po kilku dniach jazdy pociąg zatrzymał się przy jakiejś małej stacji. Żołnierze odrutowali dwi wypuszczając jedną osobę z wagonu celem pobrania wrzacej wody / kipitok /, aby wypić coś ciepłego na śniadanie. Następnie wrzucili kilkanaście bochenków chleba do każdego wagonu i znów nas zadrutowali. Nie jestem w stanie przypomnieć sobie wszystkich szczegółów uwięzienia w wagonach, ale porównując siebie z innymi nie czułem się niešťczęśliwy. Po kilku dniach podróży jakiś Żyd zauważył, że przekroczyliśmy granicę Europy i już jesteśmy w Azji. Nie pamiętam miejscowości przez które przejeżdżaliśmy, wiem, że z biegiem czasu szęsto przez cały dzień nie do-

1042
stawaliśmy nic do jedzenia, a nazajutrz dostawiliśmy same śledzie bez jakiegokolwiek kaszy. Pamiętam jak zatrzymaliśmy się niedaleko rzeki Ufa. Dzień był słoneczny i ciepły, to chyba był lipiec. Wagony zostały otwarte i wszyscy jak napędzone bydło w improwizowanych strojach kąpielowych poszliśmy się myć. Było to wielką ulgą dla nas. Jazda w dalszym ciągu postępowała z krótkimi przerwami po kłopoty lub coraz rzadziej po kaszę, tak że byliśmy stale głodni. Żołnierze z komendantem zajmowali ostatni wagon i uzbrojeni w karabiny obstawiali cały czas pociąg pilnując by ktosi nie chciał uciec, co było wątpliwe w takich okolicznościach. Raz jeden usłyszeliśmy strzał, co było powodem różnych domysłów, ale przez nas nie sprawdzonych. Mało z tej nędznej podróży już dziś pamiętam, to jedno wiem, że byliśmy stale niedożywieni, i że żywności od naszych "opiekunów" dostawaliśmy z biegiem czasu coraz mniej. Prawdopodobnie sami zjedli. Jechaliśmy chyba dłużej niż planowano, bo prawie cały miesiąc. Irkuck wydawał nam się tak odległy od okolic Lwowa, gdzie myśleliśmy, że nas dowiozą. Ostatni tydzień był prawie męczarnią, głównie z powodu głodu i niepewności jutra. Wreszcie Tynda - miasteczko na granicznym cyplu północnej Mandżurii. Do Tyndy jechałem przez Ufa, Czelabińsk, Czkałów, Irkuck. W Tyndzie dowleczono nas / ok. 320 ludzi, 90% Żydów, 10% Polaków / do obozowego siatki, kolczastymi drutami i wieżami strażniczymi placu. Znaleźliśmy tam ślady poprzednich zesłańców, duży barak i stoły z ciętego drzewa. Patrząc, a te stoły takie dziwnie popielate, jakby rozsypana kasza, a to była taka gruba warstwa wszy. Tu poraz pierwszy staliśmy w ogonku do ciepłej strawy, ja jeden z pierwszych z puszką od konserw otrzymałem dużą chochlę czegoś w rodzaju zupy z kaszy w której pływały głowy śledzi. Mimo wstrętu do śledzi gryzłem i wysysałem co się da z tych głów. Po skończeniu porcji zrzuci-

ciwży czapkę z głowy i nałożywszy marynarkę w odmienny sposób
ustawiłem się na końcu cgonka po drugą porcję. Udało mi się dostać
kupę drugi raz, ale po godzinie poczułem silny ból żołądka
i tylko z pomocą Tereni dotarłem do długiego poziomego drąga
służącego za wspólną latrynę, przesiadziałem tam w kucki długi
czas. Jakiś czas po tej obfitej uczcie załadowano nas po ok. 30
osób na samochody ciężarowe, prawie na stojąco i tak wyruszyli-
my w kierunku na północ. W naszej ciężarówce byli prawie sami
Polacy. Z Terenią umówiłem się: słuchaj Tereniu, żeby wam pomóc
musisz udawać, że jesteś moją żoną. Później przez cały czas
pobytu na Syberii ona udawała moją żonę. Po Ipałodniowej jeździe
wjechaliśmy późną nocą do jakiegoś dużego garażu, nie pozwolono
nam wysiąść, mechanicy w kanałach garażowych robili przegląd
samochodów. Jechaliśmy tymi samochodami przeszło 1000 km. Podróż
trwała kilka dni. W nocy zatrzymywaliśmy się na przeglądy, nawet
nie wiedzieliśmy gdzie. Aż wreszcie trzeciego dnia w południe
kazano nam zejść ze wszystkimi tobołami na polanę u szczytu
wzgórza otocznego ze wszystkich stron lasami sięgającymi aż do
horyzontu. Na pytanie: gdzie stąd pojedziemy, na-si opiekunowie
odpowiedzieli po rosyjsku: zdiel budieta żyt'. Samochody, który-
mi nas tu przywieziono odjechały. Dziwiliśmy się jak mamy tu żyć
skoro nie ma tu nic. Powiedziano nam, że dostaniemy pożywienie
by móc pracować i postroić posesiołek. Mieliśmy stworzyć własną
osadę budując domy z drzew po otrzymaniu narzędzi, pod kiero-
wnictwem sowieckich cieśli. Trudno opisać nasze zdziwienie i
wątpliwości co do przyszłości. Mnie to jednak nie wzruszało jak
długo wiedziałem, że będziemy razem z Terenią. Tego dnia kiedy
przyjechaliśmy było wyjątkowo ciepło więc jako tako przenocowaliśmy
my pod kocami. Nazajutrz rano przyjechały ciężarowe samochody
przywożąc kilku sowieckich robotniczy z siekierami, piłami i innymi

20113

narzędziami oraz tywnością. Zapowiedzieli nam, że musimy szybko zabrać się do budowania mieszkań, bo za miesiąc, pod koniec sierpnia może być zimno - szczególnie w nocy. Było nas tu około 300. Znajdowaliśmy się w posiadku zwanym Ugołne. Nazwa ta oznaczała teren spalony - drzewa okoliczne były osmalone, jak dotykaliśmy pni brudziliśmy na czarno ręce. Przyjechaliśmy tu po to żeby ściąć te drzewa, mieliśmy być siłą roboczą.

Nasi stróże z MKWD kazali nam ustawić się w długi szereg, po czym zapytali czy są wśród nas płotniki czyli cieśle. Ja pierwszy wystąpiłem mówiąc, że znam ten zawód i równocześnie wezwałem innych by się zgłosili jako cieśle o ile mieli kiedyś siekiere lub piłę w ręku. Za mną wystąpiło kilku innych "cieśli". Dano nam polecenie abyśmy wybrali sobie po dziesięciu ludzi z którymi będziemy pracować kierując nimi. Jeden z prawdziwych sowieckich cieśli dał nam "dziesiętnikom" wskazówki jak zabrać się do ścięcia drzew i jak przygotować je pod budowę chat czy chałup. W wyznaczonym miejscu ustawiliśmy podwaliny, a następnie ściany chat. Miały one jedno wejście i kilka szpar zastępujących okna. Robociarze sowieccy umiejętnie wycinali korę z najgrubszych modrzewi. Tworzyli z nich płachty na pokrycie belek dachu. Kobiety mieszanką mchu i gliny uszczelniały szpary między belkami. Mimo nadzoru robota nasza była dość prymitywna. W czasie deszczów do środka pomieszczeń lała się woda, zimą wpadał śnieg. Małe piecyki blaszane, które stały w każdej chacie nie wystarczały, aby ochronić nas przed zimnem i wilgocią. Przemieszkaliśmy jednak całą zimę przy temperaturze dochodzącej w nocy do -55 stopni.

Do pracy wychodziliśmy wcześnie, często przed świtem, by na miejscu być ok. ósmej. Rano przed wyjściem zjadaliśmy niespełna 1/3 bochenka chleba na śniadanie. Ze sobą zabieraliśmy również ok. 1/3 bochenka na obiad, resztę zostawialiśmy na kolację. Zakładaliśmy

na siebie co się tylko dało, na głowę pończochy zostawiając tylko szparę na oczy, żeby widzieć gdzie się stąpa. Za każdym razem dochodziliśmy do innego miejsca w tajdze pod eskortą jednego najwyżej dwóch strażników NKWD. Przed wyjściem trzeba było iść do "piłosprawki" po codziennie naostrzoną piłę. Siakierę mieliśmy własną i sami ją szlifowaliśmy. Można było pracować samemu lub we dwójkę; w zależności od tego brało się krótką piłę lub długą płaską na dwie osoby. Ja osobście wolałam pracę we dwójkę, bo waliło się drzewa o większych średnicach i wydawało mi się to bardziej ekonomiczne. Praca polegała na tym, że piłowaliśmy, zwalaliśmy takie drzewo i obcinaliśmy gałęzie. Gałęzie paliło się, a długie pnie modrzewi, które miały po 25-30 metrów wysokości, cieliśmy na trzy metrowe kawałki. Te trzy metrowe kawałki składaliśmy w specjalny stóg. Później były one zwożone przez zworzczyków kołmi ze specjalnym rodzajem sanek. Drzewo to transportowano do kopalni złota. Było ono używane do palenia w kotłach dla poruszania maszyn wytwarzających prąd elektryczny. Kobiety dostawały lżejszą robotę. Dostawały kopaczki kilofy i zajmowały się robieniem dróg, wyrównywały grunt pod drewniane podkłady. Podkłady układano w taki sposób, aby mogły przejechać samochody. Dla każdego pracującego wyznaczone były normy, które należało wykonać. Według normy jeden człowiek miał zwałić, pociąć i złożyć w sęgi 8 metrów kubicznych drzewa. Jedno drzewo wynosiło przeciętnie 1 metr kubiczny. Zwalenie 8 m. kubicznych było fizycznie niemożliwe, aby nie być karany za sabotaż trzeba było zrobić conajmniej 25% normy czyli 2 kubiki na jedną osobę lub 4 na dwie. Było to bardzo ciężko wykonać przy głodzie i chłódzie. Te 25% normy dawało zarobek 1 rubla dziennie t.j. wartość jednego bochenka dziennie. Gdy nie wykonało się 25% normy groziła "tiumna" czyli zamknięcie na stojąco w ciesnicy po pracy z pokową bochen-

ka chleba zamiast całego i wyszarsz o świecie do pracy ku całkowitemu wyczerpaniu i śmierci. Obawiając się tego każdy wykonywał te 25% normy. Aby otrzymać jakiś zarobek należało wykonać około 50% normy. Było to prawie niemożliwe. Strażnicy wydzierali spośród wyjątkowo silnych ludzi, takich, którzy wykonywali 40-50% normy i dopisywali im jeszcze 10-20%. Ogólny bilans musiał się zgadzać, więc dawało się to kosztem słabiej pracujących. Później imię takiego "lascroba" wypisywano na tablicy znajdującej się w środku posesiolka. Obok nazwiska wpisywano ilość "zarobionych" rubli i uwagę "Stachanowiec". Było to oczywiście oszustwo, ale nikt nie śmiał się sprzeciwić. Ale i ~~za~~ tak zarobione pieniądze nie można było kupić chleba, tylko jakąś sarną supę.

Opowiadał mi jeden ze zworezczyków / był już oswobodzony /, że został skazany jako kułak. posiadał niewielkie gospodarstwo na Ukrainie i nie dostarczał dziesięciny. Był skazany na 8 lat przymusowej pracy, takiej jaką my wykonywaliśmy. Kiedy po ośmiu latach upomniał się o zwolnienie, chciał wrócić do żony i dzieci, wybluzoscano mu, że żona znalazła sobie lepszego męża niż on, a dziećmi zapiekował się rząd w kołomołocach. Zworezczyk mimo tego chciał postawić na swoim. Zarzucano mu więc, krytykę ustroju, bunt i skazano na dalszych 8 lat. Po 16 latach nie prosił już o zwolnienie, bo wolał pracować jako "wolny" niż jako "zakłuczony". Na zakończenie dodał "i przywykłem". "Przywycza" jest jedynym rozwiązaniem. Ten kto tu przychodzi, tu umiera jak "sobaka".

Wspominałem już jak bardzo było zimno. Do każdej chaty dali nam "pieczkę" - to był taki piecyk o wysokości 1 metra, średnicy 30-40 cm. wyznaczone były dyżury, każdy pokolei palił. Trzeba było narząbać drewno i pilnować całą noc, żeby ogień w "pieczce" nie zgasł. Naturalnie skąd kobiety i chorzy byli zwolnieni.

Po roku, wpadłem na pomysł, ponieważ mimo ciągłego palenia w pie-

cyku było bardzo zimno, aby zawiesić prycze jak najwyżej, prawie pod samym dachem. Wykorzystałem do zawieszenia pryczy drewniane słupy na których opierał się dach. Pierwszą taką pryczę zbudowałem dla siebie, Kasi i Teroni. Potem wszyscy ludzie zaczęli do mnie przychodzić, żeby im takie prycze robić. W następnym roku zima była jeszcze bardziej eroga. Na zachęcenie Sowietów proszali ludzi, którzy za pomocą specjalnych urządzeń, robili z pni ściętych przez nas drzew, deski. Posłużyły one nam do zbudowania nowych chałup i pokrycia ich lekkimi dachami. Pamiętam, że temperatura spadła wtedy do -70 stopni. Ludzie tłoczyli się wokoło piecyka, który był rozgrzany do czerwoności, a kilka metrów dalej przy ścianie woda zamarzała, tak duża była różnica temperatur.

Nikt nas tam specjalnie nie pilnował, nie było właściwe gdzie uciec. Wszędzie wokoło takie same osady jak nasza. Myśmy się nazywali nie więźniami, ale "spec przesiedleńcy" - przesiedleńcy specjalni. Nie było tam więźniów kryminalnych. Był tam jeden oficer i kilkunastu żołnierzy z NKWD. Oni nas odprowadzali do pracy. Niektórych znaliśmy po imieniu, inni byli ordynarni i złośliwi. Jeden z nich pamiętam nazywał się Tarasow. On był sympatyczny i mówił do nas "rybiata", był dla nas ludzki.

Pamiętam jeden wyjątkowy dzień, to było Boże Narodzenie, śpiewaliśmy sobie kolędy. Ktoś zapukał do naszych drzwi, patrzymy a to jakiś młody żołnierz sowiecki. Miał może 27 lat. Usłyszał jak my śpiewamy i przyszedł się spytać czy może nam zagrać na bałabajce. My wszyscy bardzo się ucieszyliśmy. Później on sam przy ^{zaspiewał nam} akompaniamencie bałabajki piosenkę pod tytułem "Prijatelj" Wszyscy mieliśmy łzy w oczach. Nie mówiliśmy o tym zdarzeniu nikomu z zewnątrz, niemniej ten niezwykły "towarzysz" więcej nikomu z nas się nie pokazał i do tej pory nie wiem czy i dlaczego

został usunięty, bo o nim więcej nie słyszałem.

Do "tury" wsadzali za różne przewinienia. Jednego wsadzili za to że zwymyślał rząd, innego za to, że się z kimś pokłócił i pobił. "Tury" dostawało się na jeden dzień, czasem na kilka dni. Aresztant wychodził z niej tylko pod opieką żołnierza po swoją porcję chleba.

Na całodzienne wyżywienie dostawaliśmy jeden bochenek chleba i nic więcej. Pamiętam jak z zazdrością patrzyliśmy nierzadko jak jeden z naszych opiekunów niósł białego zajaca złapanego na sidła założone gdzieś poprzedniego dnia, lub kiedy zobaczyłem jednego ze strażników z grubym kawałkiem słoniny w ręku. My o tym nawet nie mogliśmy marzyć. Zrozumiałem wówczas dlaczego jeden z leżących w baraku wrzeszczał na innego, który śniadł opowiadać jakie jadł śniadanie: kawę ze śmietaną i bułkę z masłem.

Podobnie utarło się, że prawie nigdy nie opowiadano o śmierci któregoś z nas i dopiero po kilku dniach wiadomość taka przynosiła dyskretnie. Trudno powiedzieć ilu z nas - trzystu ludzi ubyło w ciągu danego roku, jakby brakło świadków miejsca i ilości pochówków. Poza pewną solidarnością instynkt samozachowawczy górował nad wszystkim. Pamiętam ze wstydem, że prawie z narażeniem życia uległem pokusie, kiedy blisko zmroku nadjechały sanie z dużym ładunkiem bochenków chleba. Dwóch ludzi przenosiło na rękach spiętrzone bochenki z san do magazynu w którym znikali na kilkanaście sekund by za chwilę wrócić do san po kolejną porcję. Wykalkulowawszy odpowiednio czas i uchwyciwszy moment kiedy obaj weszli do magazynu, szybkimi krokami w głębokim śniegu podbiegłem do sanek i chwyciwszy jeden bochenek, rzuciłem go opodal w śnieg, celując w okolicę rosnącego w pobliżu pojedynczego świerka. Potem szybko odskoczyłem w bok i szedłem dalej bardzo leniwie by nie wzbudzać podejrzeń, co mi się udało. Długo czas po tym kiedy sanie odjechały zdołałem prawie po ciemku odnaleźć ten bochenek, który zdobyłem z myślą o Tereni.

Z nastaniem wiosny i lata zacząłem mieć gorączkę z dużym osłabieniem, ale ponieważ gorączka nie sięgała 38 stopni nie mogłem w myśl prawa dla zesłańców uzyskać zwolnienia z pracy. Dopiero raz kiedy wajaczyłem w nocy Terenia dała mi termometr i kiedy okazało się, że mam ponad 38 stopni Terenia mimo późnej pory pobiegła do oficjalnej doktorki, która po sprawdzeniu gorączki dała mi tygodniowe zwolnienie z pracy. Nasz lekarz /Żyd/ stwierdził, że mam "kolicę" - infekcję bakterii "coli". Na zwalczanie tej infekcji potrzebna była urotropina, którą zamówiono. Zanim lekarstwo nadeszło minęły dwa tygodnie w okresie których poza osłabieniem czułem się dobrze. Wtedy powstała mi myśl spędzenia czasu na łowieniu istniejących podobno pstrągów w zimnej i warthkiej rzeczku Selegdar. W tym celu ze znalezionej zardzewiałej liny stalowej wyłamałem pojedynczy drut z którego dość kunsztownie zrobiłem z pamięci haczyk do wędkę za pomocą lupy i narzędzi zegarmistrzowskich. Za żyłkę służyły mi splecione i powiązane rybackimi węzłami siwe i czarne końskie ogony, które wzmocniłem jeszcze dratwą otrzymaną od jednego z Żydów. Jako wędkę użyłem brzoźowego pręta do którego dołączyłem linkę owijając ją dokładnie wokół "wędziska" tak by nie urwała się nawet w razie złamania wędkę. Jako przynęta służyły mi końskie muchy, które złapałem w stajni. Tak zaopatrzony poszedłem nad rzekę z dużą emocją i próbowałem na długiej przestrzeni coś złowić na różne sposoby - to zatapiając muchę, to na sucho. Jednak bez wyniku. Zmęczony daremną próbą i utratą much zarzuciłem ostatnią przynętę. Wtedy z wody wyskoczył mały pstrąg. Nie zdołałem go jednak zaciąć wędką. Mimo zawodu wróciłem do baraku uradowany, że pstrągi są w rzeczce. Nazajutrz poszedłem w bardziej oddalone miejsce, gdzie udało mi się złapać pierwszą rybę - lipienia. Rzuciłem ją na kamienisty łąd po czym odłupawszy jej głowę kamieniem rwałem łapczywie mięso zębami, czując po wielu miesiącach po raz pierwszy prawdziwy pokarm w ustach. Kiedy zabrakło mi much odkryłem

polaną pełną koników polnych, które okazały się najlepszą przynętą. Tego samego dnia poza jednym zjedzonym od razu lipieniem złowiłem jeszcze dwa następne, które przyniosłem do baraku ku radości pań. I tak dzień po dniu zacząłem chodzić na ryby, proszono mnie nawet o sprzedanie haczyka. Tylko Józek Małaczyński zdobył, nie wiem w jaki sposób, prawdziwy haczyk do wędki. Pod koniec łowów stał się dla mnie dużym konkurentem, łapiąc mniej ryb, ale za to większe. Józkowi udawało się łapać w głębokich wodach duże pstrągi. Wkrótce rozeszła się wieść o moich skutecznych łowach. Żydzi ustawiali się w kolejce czekając na mój powrót z nad rzeki. Za każdą rybę płacili mi jednego rubla. Było to pewnym sukcesem pod warunkiem, że udało mi się jednego dnia złapać więcej niż 10 lipieni i pstrągów. Szybko jednak musiałem zakończyć łowienie ryb, ponieważ po zażyciu lekarstw ~~xxxxx~~ powracałem do zdrowia i wkrótce zacząłem pracować. Po pracy wolałem położyć się i odpocząć niż marznąć nad wodą ze słabym skutkiem. Raz jeszcze wzorem Józka poszedłem ^{do} głębokich miejsc rzeki próbować szczęścia. Miałem wówczas drugi, większy haczyk. Udało mi się zaciąć największego pstrąga, który pociągnął linkę w stronę wystających z wody gałęzi, tak że wyciągając linkę zламаłem wędzisko. Duży pstrąg zawisł przez chwilę na gałęzi i wpadł z powrotem do wody.

Po upływie roku władze sowieckie wybudowały nowe budynki. Postawiono je na miejscu starych. Każdy mieścił około 40 osób. Dachy były kryte deskami ciętymi na miejscu z pni modrzewia. Chałupy miały też małe okna z szybami. Wewnątrz, na środku izby stały nieco większe od poprzednich piece blaszane. Najważniejsze było to, że woda nie przeciekała z dachu. To wszystko wybudowano w ciągu dwóch gorących miesięcy lata. Nas zesłańców użyto tylko do robót pomocniczych. Było to i tak przywilejem w porównaniu z cięciem drzewa. Drzewa które ścinałⁿⁱśmy były często spalone od tajemniczych pożarów.

104.

Topiók sprawiał, że wyglądaliśmy gorzej niż kominiarze, wymagało to częstego i w tych warunkach bardzo trudnego mycia. Któregoś dnia zjawił się u nas milicjant z NKWD. Zawołał mnie nie po nazwisku, lecz jako zegarmistrza / czasowyj majstier /. Nie zareago-
wałem, czując, że coś złego się za tym kryje. Milicjant wyszedł, ale po niedługim czasie wrócił wymieniając moje nazwisko. Kiedy się zbliżyłem, aby nie być zruganym za pierwsze milczenie, oświadczyłem mu, że to mój był zawód, a nie obecny. Teraz byłem kierowcą samochodu. Oba te zawody figurowały na liście zesłanych pod moim nazwiskiem. Milicjant oświadczył pokrótce, że na zesłaty mały srebrny zegarek żony. Pamiętam, że zwrócił się do mnie - "ośle". Powiedział, że jeśli podejmę się naprawy zegarka w ciągu tygodnia otrzymam dziesięć rubli. Jeśli zaś oddam zegarek nie naprawiony zostaną zamknięty w ciemnym lochu za sobotaż. Po otwarciu koperty od strony mechanizmu zorientowałem się, że powodem zatrzymania jest "włos". "Włos" to najmniejsza mała spiralna sprężynka o średnicy około trzech czterech milimetrów. Była ona nieco zgięta w jednym miejscu co spowodowało zatrzymanie się mechanizmu. Jest to rzecz dziecinnie prosta do naprawienia w normalnych warunkach i jak mi się zdawało w obecnych, ponieważ miałem ze sobą pincetki i lupę. Po sprawdzeniu raz jeszcze mojej diagnozy przyjąłem zegarek do naprawy. Miałem go oddać najdalej w przyszłą niedzielę. Przyjąłem zegarek do naprawy w niedzielę rano. Natychmiast po odejściu milicjanta zabrałem się do naprawy korzystając równocześnie z pomocy "żony" i innych towarzyszek niedoli. Ofiarowały mi one biały papier na prymitywny stół i przygotowały na wszelki wypadek wiele świec. Chcąc zrobić doskonałą naprawę musiałem wydostać małe włos z oski i nadać mu idealny kształt. Wkrótce to uzyskałem. Naprawa byłaby skończona w ciągu godziny gdyby nie to, że zakładając włos z powrotem na oskę rolka włosa zesliznęła mi się z ostrych końców pincetki i włos przysnął w powietrze w niewiadomym kierunku. Dało to początek historycznemu

zdarzeniu z włosem, można by rzec tragicznemu. Zacząłem szukać włosa na podłodze zrobionej z grubo ociosanych pni modrzewiowych. Tworzyły one rodzaj klepiska bo szpry między nimi były wypełnione gliną. Można by to porównać do szukania igły wstogu siana. Przeszukałem z lupą przy oku około dwóch metrów kwadratowych podłogi. Potem postanowiłem przeszukać jeszcze dwa razy większą powierzchnię. Szukałem centymetr po centymetrze wzdłuż każdej belki podłogi, wiedząc, że "włos" musi się tu znajdować. Cały następny dzień spędziłem na bezskutecznym szukaniu "włosa". Przeciego dnia przeszukałem ściany, które były dużo bardziej szorstkie od podłogi. Po dłuższym czasie zrozumiałem, że muszę odpocząć i zacząłem się modlić do Matki Boskiej. Po trzech czy czterech dniach szukania przypomniałem sobie, że w podłodze znajduje się szpara nie wypełniona gliną. Było to jedyne nie przeszukane przeze mnie miejsce. Choć to mało prawdopodobne było to jedyne miejsce, w którym mógł znajdować się "włos". Nie mając innego wyjścia postanowiłem wyrwać z podłogi sąsiadującą ze szparą deskę. Zrobiłem to z wielką ostrożnością, by spadające z deski śmieci nie pogrzebały "włosa". Ku memu zdziwieniu usłyszałem chlupanie wody. Okazało się, że w miejscu szpary pod podłogą był dół wypełniony wodą, o głębokości około pół metra. Dół ten był pozostałością po wykopanej glinie służącej do wypełniania szpar między belkami. Sytuacja wydała mi się bezna-
dziejna. Mimo, że woda była bardzo przezroczysta znalezienie "włosa" na dnie między zgniłymi liśćmi i grudkami gliny wyglądało na niemożliwe. Wiedząc, że włos był stalowy przyszedł mi do głowy pomysł użycia magnesu. Ale skąd go wziąć? Przypomniałem sobie, że jeden z Polaków - zesłaniec inżynier Keller / pochodził ze Śląska/ miał żyletkę do golenia typu "eclipse" z małym magnesem na końcu trzonka. Magnes służył do podnoszenia żyletek ze stołu. Zaraz po-
biegłem do jego baraku i wkrótce znalazłem się w posiadaniu wy-
pożyczonego trzonka maszynki z magnesikiem. Uwiązałem go do grubej

nitki i w ten sposób skonstruowałem sondę, którą sondowałem dno dołu wzdłuż linii szpary w podłodze. Posuwałem ~~się~~ magnes co centymetr na przestrzeni trzech czwartych metra. To była długa wyzerpująca operacja, wymagająca dużej ostrożności i dokładności. Wielokrotnie oglądałem magnes i w końcu ze zmęczenia zdawało mi się, że widzę przyczepiony doń "włos". Kiedy byłem już bliski załamania zamówiłem modlitwę jako ostatni akt nadziei. Aby skończyć już sondowanie pozostałych dziesięciu centymetrów szpary i moją "wędkę duchową" dla porządku tylko oglądałem wyciągany z wody magnesik. Zak zjawa "włosa", którą widziałem na magnesiku stała się rzeczywistością zupełnie cudownym sposobem. Zawołałem na głos - "znalazłem"!

Zabezpieczyłem trzonek maszyny do golenia z magnesikiem i włos, po czym nie mogłem powstrzymać łez ze wzruszenia i wdzięczności dla Matki Boskiej. "Włos" znalazłem o ile pamiętam w sobotę.

Dalsze szczegóły pomysłnie zakończonej reperacji zegarka tracą na znaczeniu wobec cudownego odnalezienia zguby, zwalniającego mnie od pobytu w ciemnicy, który mógł być dla mnie tragiczny w skutkach.

Mała rzeczulka była przez trzy czwarte roku pokryta lodem, który wczesną wiosną dochodził do jednego metra grubości, tak, że codziennie odnawiana przerębla stała się rodzajem studni z której prawie na leżąco trzeba było czerpać wodę na kąpiatok lub do mycia. Na drugi rok wybudowano nam banię czyli łaźnię z której prawie nie korzystałem z powodu prymitywnych warunków i uczucia wstrętu na widok innych wychudłych ciał ludzkich. O ile pamiętam w łaźni korzystało się z pary powstającej przy polewaniu wodą rozgrzanych kanieni. Do łaźni prowadzono ~~raz~~ raz na tydzień mężczyzn i raz na tydzień kobiety.

Późną wiosną lody szybko topniały od słońca a filcowe walonki przesłaniały tak, że musiano je suszyć koło rozgrzanego do czerwoności pieca co utrudniało zbliżanie się do "pieczki" z powodu odrażającego zapachu. Pod koniec zimy / w maju / skryształizowany śnieg dochodził do półtora metra wysokości. Stwarzało to koniecz-

ność dodatkowej pracy przy ścięciu drzew polegającej na odgarnięciu grubej pokrywy śniegu wokół pnia, ponieważ każde drzewo należało ściąć przy twardym gruncie. Piłowanie odbywało się więc w śniegowych studniach. Drugi rok pobytu był, poza zimnem, o tyle gorszy, że nasza odzież rozpadła się prawie w strzępy i wiele czasu trzeba było poświęcić na łatanie futajek i walonek czym tylko się dało. Zdarzało się niejednemu, a nie także, zgubić w śniegu siekiery. Pozwalano nam czasem na odszukanie jej następnego dnia, jeśli to się nie udało potrącano nam z zapłaty, czyli z racji chleba. Jeśli nie odnaleźliśmy siekiery próbowało się ukraść inną z "piłospławki". Wiek którym udało się znajdować siekiery zgubione przez innych w zeszłym roku i trzymali je wtedy jako rezerwę na wypadek zguby własnej.

Ze zjawisk natury najciekawsze były chyba trąby powietrzne z których jedna zbliżywszy się do naszego posiadka porwała w powietrze sęgi drzew, które wyglądały z daleka w powietrzu jak zapałki. Nasz "bohaterski" komendant wskoczył na konia i dając niezrozumiałe rozkazy zwał w bezpieczniejszą stronę. Okazało się to jednak niepotrzebne bo cyklon w odległości około stu metrów od nas zmienił kierunek.

Drugim ciekawym zjawiskiem jakie obserwowałem było pojawianie się w powietrzu podczas wielkich mrozów i słonecznej pogody gęstwy miniaturowych gwiazdeczek powstających z wilgoci zawartej w powietrzu.

Najładniejszym zjawiskiem były jednak kontrasty barwne śniegu od złotego do niebieskiego w zależności od oświetlenia i pory dnia, występujące o świcie i przed zachodem słońca.

W czasie wolnym od pracy, przeważnie w niedziele władza sowieckie organizowały wykłady "wychowawcze i kształcące" o charakterze propagandowym, na które większość zesłańców starała się iść w obawie o ujemne skutki nieobecności dostrzeżonej przez władze. Takie

wykłady były urozmaicone czasem wybuchami śmiechu słuchaczy i srogim oburzeniem na "chichy i chachy" ze strony wykładowcy.

Pewnego dnia jeden z Żydków musiał obś takiego przeszkrobać, że został wieziony pod eskortą jednego czy dwóch milicjantów do głównej komendy w Aulanie odległej od nas o kilka kilometrów. I wtedy zebrało się około stu towarzyszy solidarnie kroczących za aresztantem w małej od niego odległości. Ku mojemu zdziwieniu po dwóch czy trzech kilometrach drogi konwojenci zwolnili więźnia pod jakimś pretekstem.

Zdarzeniem prozaicznym i w stylu naszych zwierzchników z NKWD było zniknięcie służącej oddanej Kasi i Tereni. Odeszła ona od nas w początkowym okresie naszego "zabarakowania" kiedy spaliśmy we czworo z Fajciem / Andrzejem **Mírskim** / jeden koło drugiego jak sardynki w puszcze. Po dłuższym czasie doszła do nas wiadomość, że nasza służąca zamieszkała wygodniej u komendanta naszego NKWD. Od tego czasu nigdy jej już nie widzieliśmy. Ona to nosiła i przyniosła do naszego baraku wielką ilość pościeli i tym podobnych tobołów. Dzięki temu mieliśmy sporo materiałów i rzeczy, które u miejscowych "kułaków" zamienialiśmy na mleko dla kilkumiesięcznego Fajcia. Przy okazji jednego z takich handelków stara kobieta, wieśniaczka miejscowa zauważyła w rzeczach Kasi obrazek Matki Boskiej i powiedziała mi, że ona też ma ikonę, którą ukryła głęboko w obawie, że jej syn czy córka doniesie o tym NKWD.

Zaraz po przyjeździe na Syberię postanowiłem sprzedać prawie nowe moje ubranie uszyte z angielskiego materiału. Po długim poszukiwaniu kupca dostałem adres jakiegoś "kulturalnego" gospodarza, który miał mi dobrze zapłacić, ponieważ codziennie jadł mięso / było to symbolem kultury /. Kiedy wszedłem do jego izby gospodarz poprosił żonę by najpierw odprowadziła kogoś z rodziny / jak sądziłem /. Tym kimś okazała się wołana po imieniu Świnia leżąca pod łóżkiem. Świnia była symbolem bogactwa i kultury. W zamian za

KOM 6
ubranie otrzymałem pewną ilość rubli niepotrzebnych mi bo nie można było za nie kupić żywności, a innych rzeczy w ogóle nie było na sprzedaż. W "stołowej" można było kupić tylko zupę "szczy" taką zupę z kapusty. Pieniądze poza tym mogliśmy zarobić tylko wtedy kiedy podjęliśmy się dodatkowej pracy przy cięciu drzewa. Każdy stóg ułożony z bali drewnianych po ścięciu drzew był mierzony za pomocą dwumetrowego kija i zaliczany jako zrobiona praca. Wszyscy Polacy i Żydzi próbowali oszukiwać przy układaniu stogów. Układało się najpierw długie kawałki drzewa potem krótkie a w środku stogu zostawiało się puste miejsce. Potem odkryto te oszustwa i za to szło się do tury. Każdy robił jak mógł, żeby wyżyć.

Warunki życia na Syberii sprawiły, że zacząłem wątpić o celu życia, stawałem się coraz bardziej niecierpliwy, ale też coraz mniej uległy i nieznośny co musiała Terenia odczuć, bo po raz pierwszy zacząłem się obawiać, że utracę jej przyjaźń, skoro do prawdziwej miłości nigdy nie doszło. Po raz pierwszy odkryłem w sobie zazdrość, kiedy zauważyłem z jakim uśmiechem i wesołością Terenia odnosiła się kolejno do Józka i Mańka Małaczyńskiego, których uważałem za niegodnych porównania ze mną. Taki stan psychiczny doprowadził mnie wreszcie do tego, że oznajmiłem Tereni o podjętej przeze mnie decyzji zmiany miejsca zamieszkania i noclegu. Wyprowadziłem się od niej do najsympatyczniejszej dla mnie pary małżonków Langner, którzy mnie bardzo sympatycznie przyjęli, nie wiedząc o moim wrodzonym antysemityzmie, który od tamtej pory zaczął maleć. To miało miejsce drugiego lata spędzonego przeze mnie na Syberii.

Podczas jednej z moich wypraw na ryby natknąłem się po raz pierwszy na innych "niezakliuczonych" ludzi. Byli to tubylcy - Jakuci rasy mongolskiej. Na ramieniu mieli strzelby. Jak się dowiedziałem opuszczają oni żony i dzieci na cały sezon - blisko rok - aby polować na zwierzęta. Z upolowanych zwierząt zdzierali skóry na fut-

ra. Wolałem się ukryć niż z nimi rozmawiać w obawie, że w razie gdyby władze dowiedziały się, że zbyt oddaliłem się od posesiołka Ugolny mogłyby mnie ukarać.

W czasie krótkiego i gorącego lata zdarzały się częste pożary w tajdze. Nie można było ich ugasić. Nieraz widzieliśmy duże połacie lasów wyglądających makabrycznie - jak czarne maszty bez gałęzi. Czasem nas kierowano na takie miejsca. Praca była tam bardzo uciążliwa, nie tylko ze względu na to, że suche drzewo trudniejsze jest do piłowania, lecz także dlatego, że nasz ubiór, ręce, twarze były czarne od sadzy i trudno było je domyc. Przyczyny takich pożarów były dość tajemnicze. Trudno udowodnić czy palono lasy umyślnie. Jeden z pożarów zdarzył się blisko naszego posesiołka. Większość wiedziała, że pożar spowodowany był umyślnie. Spłonęły w czasie tego pożaru sagi "wypracowane" przez nas - zakluczonych. Chodziło o to, aby uniemożliwić obliczenie ilości wykonanej pracy ~~przez~~ i wykrycie ewentualnego deficytu przy kontroli wyższych władz. Przy jednym z takich pożarów byliśmy zmobilizowani razem z kobietami i dziećmi do gaszenia. Ustawiono nas w długie szeregi. Podawaliśmy jeden drugiemu wiadra z wodą. Ja mimo, że byłem zwolnony w tym czasie z pracy też brałem w tym udział. Gasiliśmy w bardzo trudnych warunkach, ponieważ wiatr i dym szedł w naszą stronę. Wiele osób mdlało. W pewnym momencie skorzystałem z zamieszania, uciekłem i ukryłem się w lesie. Wróciłem, podobnie jak wielu innych, wyczerpany późno w nocy.

W połowie lub pod koniec drugiego roku naszego pobytu na Syberii powstał pewien modus vivendi pomiędzy nami, a naszymi strażnikami. Polegał on na tym, że okazywaliśmy pozorne zadowolenie z istniejącego stanu i przyznawaliśmy zawsze rację naszym "opiekunom", w myśl zasady "nie rozdrażaj". W tym czasie władze poza imprezami "kulturalnymi" zaczęły propagować sadzenie ziemniaków wielkości orzechów. Każdy z uprzywilejowanych dostawał parcelę, którą miał

oczyścić z kamieni i przekopać. Okazało się to syzyfową pracą bo z jednego metra kwadratowego wydostawało się 50 kilogramów kamieni, a i tak drugie tyle zostawało w ziemi. Uprawianie pól nie było przymusowe, ale wielu z nas wydawało się to wskazane. Ja w tym czasie będąc "z dala" od Tereni ~~też/też~~ dowiedziałem się, że ona też weźmie udział w tej uprawie i tylko dlatego zgłosiłem się też by "przypadkowo" być bliżej niej. Pracowałem bardzo ambitnie i wybrałem z ziemi olbrzymi stóg kamieni. Lecz nie to było moim celem. Chciałem porozmawiać z Terenią. Udało mi się raz z Terenią porozmawiać głównie na temat choroby Kasi. W tym czasie Kasia miała mały wypadek. Została uderzona deską w głowę. Przez chwilę była nieprzytomna. Po wypadku nabawiła się meningitis, na który już wcześniej się trochę skarżyła. Kiedy rozmawiałem z Terenią zauważyłem, że jest blada, schudła tak, że zrobiło mi się jej żal. Terenia była wspaniałą kobietą, potrafiła sobie wszystko załatwić. Była sprytna, mądra, a przy tym była bardzo dobrym człowiekiem. To była wspaniała kobieta na żonę. Później wyszła za mąż za Piotra Pnińskiego.

Z rodzin polskich wywiezionych razem ze mną pamiętam rodzinę Smogorzewskich. To byli prości ludzie, ale sympatyczni. Rodzina Smogorzewskich to był mąż, żona i sześćcioro dzieci - chłopców. Pięcioro z sześciorga dzieci zmarło tam na tyfus. Irzeżył tylko najmłodszy. Spośród trzystu osób wywiezionych do naszego posesiłka na tyfus zmarło około 15 - 20%.

Oprócz Polaków w naszym posesiłku byli z osób wywiezionych tylko Żydzi. Stosunki pomiędzy Polakami i Żydami układały się dość dobrze. Przypuszczam, że Kasię i Terenię wywieziono razem z transportem Żydów dlatego, że mieszkały we Lwowie blisko teatru, który był w dzielnicy żydowskiej. Sowieci brali do wywózki całymi dzielnicami nie patrząc kto jest kto - Żyd czy Polak.

Posiołek Ugolnyj znajdował się w pobliżu miejscowości Audan, nad rzeczką Selegdar dopływem Leny.

Z posiołka pisałem list do Lwowa. Czy dotarł do Lwowa nie wiem. Ale ja będąc na Syberii dostałem list od mojej ciotki. Jeszcze ktoś jakiś list otrzymał. Ale była to rzecz wyjątkowa.

Syn Kasi - Pafcio przeżył pobyt na Syberii ale był chłopcem nieudanym - Andrzej się zbakierował. Kasia wracając do Polski spotkała się z mężem, który siedział na Lubiance, ale został wypuszczony. Rok później urodziła im się córeczka.

Sytuacja międzynarodowa była coraz bardziej niepewna. O tym co dzieje się na świecie dowiadaliśmy się z jakoś przemyczanych przez Żydów porwanych gazet. W czasie drugiego roku pobytu na Syberii dotarła do rąk Żydów jakaś gazeta donosząca o podpisaniu umowy między Churchilem, a Stalinem. Umowa dotyczyła zwolnienia z łagrów wszystkich chętnych i zdolnych do walki Polaków w celu utworzenia armii, chodziło o armię organizowaną przez Andersa, wkrótce nasz komendant otrzymał potwierdzenie z XX Audanu, że kandydaci mają zgłaszać się po karty zwolnienia. Uzgodniłem z Terenią i Kasią, że one też zgłoszą się po takie karty zwolnienia i w razie potrzeby skorzystają z mojej pomocy / jako oficera znanego w Departamencie Uzbrojenia /. Prawie wszyscy Polacy otrzymaliśmy takie zwolnienia. Musieliśmy sobie jednak sami zapewnić transport i wyżywienie w czasie drogi z Syberii do miejsca gdzie formowała się armia. Nie otrzymaliśmy żadnej pomocy od władz sowieckich. Jako zwolniony udałem się do Audanu i zgłosiłem do pracy w warsztatach naprawczych samochodów jako inżynier "wielkich sawodów". Niedowierzali mi, zapytali czy umiem być "akumulatorszczykiem", powiedziałem, że tak, choć nigdy nie byłem robotnikiem w akumulatorni. Zależało mi na tej pracy, bo związany był z nią deputat na litr mleka dziennie i uczęszczanie na stołówkę. Chytnie

zabranian się do pracy, podpatrując jednocześnie jak robotnicy wypełniali płyty ołowiane, jedne "surukiem" i drugie "gilotem". Przez trzy dni równoległa z nimi pracowałem i pamiętam, że niezajomość języka była mi wtedy pomocna. Po trzech dniach przyszedł do mnie jakiś majster z zapytaniem "czy umiem być wulkanizator-szczykiem?". Wulkanizację znałem znacznie lepiej niż pracę w akumulatorni, bo przed wojną jako wojskowy zostałem przydzielony do Krakowa do byłej austrojęckiej fabryki samochodów, gdzie zdobyłem wiedzę na ten temat. Po niecałym tygodniu pracy w wulkanizatorni przyszło do mnie dwóch wyższych funkcjonariuszy. Przywieśli ze sobą śrubę ślimakową. Spytaли mnie się, czy potrafię nastawić tak "gitarę kół podziarowych" na tokarni, aby wykonać identyczną śrubę. Poprosiłem ich o dobry kątomierz i przy pomocy mojego suwaka logarytmicznego dobrałem im za trzecim razem dokładnie dwie pary kół zębatych /gitary/ o oznaczonej ilości zębów każdej pary w taki sposób, że natychmiast można było wytoczyć pożądaną przez nich śrubę ślimakową. Zaimponowałem im, bo nikt dotąd nie potrafił tego zrobić. Natychmiast otrzymałem dostęp do stołkówki dla "żony" i jej siostry z "rebiatkiem". Ułatwiło nam to bardzo robienie zapasów na dalszą drogę. Teraz codziennie odkładaliśmy kawałek upieczonego chleba do worka, miało to być nasze zabezpieczenie. Przez cały czas mojej pracy w warsztatach samochodowych mieliśmy być zapewniony. Zacząłem badać możliwości naszej dalszej podróży. Mieliśmy przebyć 1300 km. do najbliższej stacji kolejowej, aby stamtąd dostać się koleją do Busuluku, gdzie zamierzałem się spotkać z Armią Andersa.

KOM 7 [Na początkowy okres czasu mieliśmy być zapewniony dzięki zapasowi sucharków. Zacząłem badać możliwość naszej podróży. Okazało się, że do Altdanu przywożono samochodami żywność / głównie chleb/ z południa. Następnie puste samochody wracały kilkaset kilometrów na południe. Dowiedziałem się, że niektórzy z szoferów tych samochodów daliby się przekupić jedynie machorką, której wtedy brako-

wało. Ale paczkę machorki bardzo trudno było zdobyć. Pozostało mi wtedy trochę rubli ze sprzedaży ubrania, więc przepłaciłem i kupiłem paczkę machorki. W zamian za machorkę namówiłem jednego z szoferów aby przewiózł nas na południe. Faktycznie, ukryci pod brezentem przejechaliśmy około 200 - 300 km. Wysiedliśmy w małej miejscowości. Zacząłem tu szukać noclegu, a także kogoś, kto potrzebował naprawy zegara czy innego sprzętu domowego. Znalazłem wreszcie kobietę, która chciała naprawić maszynę do szycia. Zgodziłem się to zrobić w zamian za paczkę machorki. Ujrzałem rozpacz w oczach kobiety, spojrzała na mnie nieżyczliwie, ale kiedy dałem jej dużo czasu na zdobycie machorki, zdobyła ją dzięki handlowi wymiennemu. Zgodziła się także byśmy u niej przenocowali.

Nie pamiętam już wszystkich etapów drogi wiodących nas do linii kolei transsyberyjskiej, linii Władywostok - Moskwa. Pamiętam, że naprawiałem jeszcze różnym ludziom jakiś stary zegar, gramofon, maszynę do szycia - wszystko w zamian za machorkę dla szoferów. Im dalej było od Jakucka, tym łatwiej szoferzy dawali się przekupić.

Kiedy dotarliśmy do pierwszej stacji kolejowej spostrzegliśmy tysiące ludzi koczujących na nasypie kolejowym. Wszyscy czekali na najbliższy pociąg na zachód, który równie dobrze mógł nadejść za godzinę jak i za rok. My też nie mieliśmy innego wyjścia jak czekanie. Umówiłem się z Terenią i Kasią, także kiedy nadjedzie pociąg one dwie będą starały się wsiąść z dzieckiem do przedostatniego wagonu, a ja w tym czasie będę starać się dostać do tego samego wagonu od drugiej strony i zablokować drzwi tak długo aż Terenia i Kasia przecieną się do mnie. Nie wierzyłem by się to wszystko mogło udać a jednak się udało, mimo, że wydawało się, iż żaden człowiek nie wcisnąłby się do tak załadowanego ludźmi wagonu. Wcisnęliśmy się jakoś wszyscy nie bacząc na brak biletów na ten pociąg. Flock był taki, że ludzie jechali półleżąc, półstojąc, jeden na drugim. Kontroli się nie baliśmy, bo żadna kontrola nie byłaby w stanie się pomiędzy nami przecienąć. Jechaliśmy więc tak na słowo honoru z

nadzieją, że dojedziemy kiedyś do Taszkientu, gdzie ktoś od Andersa miał się znajdować. Nie zważaliśmy na krzyki i bitwy osób wsiadających na każdej stacji. Nie pamiętam już po ilu godzinach pociąg zatrzymał się w Czkałowie czy Czelabińsku. Tu oznajmiono nam po kilku godzinach, że wszyscy musimy wysiąść. To była dla nas smutna niespodzianka. Była jednak też niespodzianka radosna. Na opustoszałej stacji podszedł do mnie kapitan w polskim mundurze i poznawszy po ubiorze z jakich stron ~~pośobóże~~ jadę powiedział, że jest wyznaczony przez generała Andersa do werbowania wszystkich Polaków zwolnionych z łagrów i więzień. Zwerbowane osoby ma dowozić do sztabu gen Andersa w Taszkencie. Każdy może sobie wyobrazić naszą radość, szczególnie gdy okazało się, że kapitan ma do swojej dyspozycji cały pociąg. Nieznajomy kapitan znalazł nam miejsce w pociągu i powodził nas, życząc dobrej podróży. Pociąg ruszył, proszę sobie wyobrazić nasze zdziwienie i przerażenie, kiedy pociąg nie zatrzymał się w Taszkencie, a pojechał dalej. Bardzo mi się to nie spodobało. Po godzinie pociąg zatrzymał się w Samarkandzie. Wsiadłem natychmiast, żeby się czegoś dowiedzieć. Wreszcie spotkałem jakiegoś Polaka, który był ubrany podobnie jak ja, ale wydawał mi się bardziej "zadomowiony". On mi powiedział, że zna ten pociąg którym przyjechaliśmy. Pociąg ten jest pod dowództwem Rosjanina, mówiącego po polsku, który podaje się za polskiego kapitana. Jego zadaniem jest wywóz ~~o~~ polskich i innych zwolnionych zesłańców na roboty do budowanego między Morzem Aralskim a Kaspijskim kanału. "Polski kapitan" wywoził tam byłych zesłańców pod pozorem, że jadą w miejsce, gdzie ~~k~~ gromadzi się Armia Andersa. Po dłuższej rozmowie z tym Polakiem pobiegłem do Tereni i Kasi aby uprzedzić je, że musimy wysiąść z pociągu na następnej stacji - w Kaganie. Tam przesiądziemy się na kolej do Buchary - stolicy Uzbeków - źle usposobionych do Sowietów. Tak też zrobiliśmy.

W Bucharze wynajęliśmy jakąś izbę do spania z dostępem na dach gdzie można było przesiadywać ciesząc się ciepłym i przyjaznym klimatem. Moją pierwszą myślą było wyjechać nazajutrz do sztabu Andersa w Buzułuku celem załatwienia formalności wojskowych / weryfikacji / i zapewnienia pomocy Kasi i Tereni. Spotkałem tam księdza Cieńskiego, który jako proboszcz w kościele Marii Magdaleny we Lwowie / obok Politechniki / zetknął się ze mną dając mi metryki chrztu bardzo mi potrzebne. To on pożyczył mi dość dużą sumę pieniędzy dla mnie Kasi i Tereni do czasu kiedy odbierze dla mnie oficjalnie należącą mi się zapłatę za okres niewoli.

Spotkałem tam również szereg wyższych oficerów z Uzbrojenia m. in. pułkownika Polmyna ? mego byłego szefa i wielu innych. Od księdza Cieńskiego dowiedziałem się również, że Aleksander Mirski mąż Kasi został już też zwolniony i wkrótce będzie w sztabie. Tak więc dzięki mojemu i księdza pośrednictwu będzie mógł połączyć się z Kasią.

Natychmiast wróciłem do Buchary. Darem właścicielkom porcję pieniędzy przeznaczonych dla Tereni i Kasi. Skonstatowaliśmy, że podczas podróży koleją Kasi jeszcze przed Czakalowem zginęło futro, a mnie dowód zwolnienia z ~~obozu~~ Syberii. Pozostało nam teraz czekać na przyjazd wojsk Andersa przeznaczonych do Anglii. Byłem do nich włączony jako dowódca IV Eskadry Lotniczej. Po otrzymaniu wizy sowieckiej na którą długo czekaliśmy wyznaczona grupa lotników i marynarzy miała być wysłana do Kermine niedaleko Krasnowód-ska nad Morzem Czarnym. Ja miałem rozkaz dołączenia do tej grupy w Kermine, kiedy tylko przyjdzie wiadomość o nadejściu polskich wojsk. Następnie mieliśmy być w Krasnowódsku załadowani na statek i przetransportowani do Persji. Tymczasem pozostawało nam czekać. Myśleliśmy z Terenią o zaopatrzeniu się w niezbędne wiktuały. W tym czasie zapoznałem się trochę z ubogim miasteczkiem, niegdys

sławnym z wyrobu bucharskich dywanów i pięknego meczetu, obecnie opustoszałego. Pewnego razu z przygnębieniem usłyszałem jakiś ludzkie dobiegające z budynku, który okazał się być sowieckim więzieniem. Tu "wychowywano" tubylców, bardzo wówczas opornych wobec władzy sowieckiej. Innym razem zauważyłem jakiegoś kupca sprzedającego bardzo cenną nardal machorkę kilku tubylcom licytującym się o cenę. Wiedząc, że machorka jest przydatna do różnych transakcji nabyłem ją przepłacając trochę. Wtedy niespodziewanie zjawili się dwaj milicjanci i zabrali mnie na komendę. Byłem w dużych opałach nie tyle z powodu kupna machorki na czarnym rynku, co z powodu tego, że miałem w kieszeni / na wszelki wypadek / jedną z trzech złotych dwudziestodolarówek, które posiadałem. Obawiałem się więc groźnych następstw. Na komendzie zabrano mi machorkę i kazano się rozbierać. Przeszukiwano przy tym każdą część mojego ubrania. Rozbierając się sięgnąłem niepostrzeżenie po złotą monetę i wrzuciłem ją do prawego buta. Ściągając but wy dobyłem z ręcznie monetę i włożyłem ją pod gołą piętę, stojąc na betonie. Miałem wrażenie, że stoję na kawałku rozżarzonego węgla, ale starałem się zachowywać niefrasobliwie i kroczyć swobodnie lewą nogą tam i z powrotem jak gdybym nie miał nic na sumieniu. Milicjant stał na szczycie blisko mnie i nie potrzebował wzywać mnie, abym podszedł ku niemu. Sam zajęty był w tym czasie podważaniem podeszew mojego buta. Można sobie wyobrazić moją ulgę kiedy pomimo tego, że nie miałem / zgubionych / dokumentów i nielegalnie kupiłem machorkę, milicjant kazał mi się ubrać i powiedział, że po machorkę mogę się zgłosić następnego dnia. Oczywiście nie zgłosiłem się i dzięki Bogu nigdy więcej już ich nie widziałem.

Te zdarzenia przyczyniły się do podminowania nastroju mego i fereni. Zdarzył się nawet taki upokarzający dla mnie moment, że przy jakiejś okazji ferenia chlapięła mnie w twarz, a ja momentalnie

odwzajemnikiem się jej w ten sam sposób. Ten incydent jest do tej pory w mej pamięci niezatartą plamą.

Oczekiwanie ciążyło coraz bardziej nam wszystkim. Wreszcie po paru tygodniach ktoś nam doniósł o przyjeździe wojsk Andersa do Kernine. Zapomniałem nadmienić, że będąc w Buzuluku powiedziano mi, że otrzymam nowe angielskie umundurowanie polowe z żółtymi naszywkami oznaczającymi lotnictwo. Kiedy ten mundur otrzymałem - nie pamiętam. Wiem, że nie tracąc czasu wyjechałem do Kernine, gdzie otrzymałem kwatery z oknem wychodzącym na piaszczystą pustynię, niedaleko oficerskiej stołówki. Nie zapomnę jak w okresie czekania na statek do Persji pustynia wypełniała się z każdym dniem wynędzniałymi Polakami, świeżo zwolnionymi z obozów. Obserwowałem jak wykopywano dół i jak stolarze robili trumny dla coraz większej ilości umierających, głównie na tyfus plamisty, ludzi. Było nie do pomyslenia bym każdorazowo po obiedzie na stołówce nie wziął choćby kawałka chleba i nie dał go w jak najmniej widoczny sposób któremuś z ludzi, którego wynędzniały wyraz twarzy coś mówił. Było mi nieopisanie przykro oglądać tłumy leżących na piasku ludzi czolgających się w moją stronę o ile zauważyli, że coś komuś z nich daje - jak na przykład pożyczwej kobiecie z dzieckiem, która nie zareagowała na widok chleba, bo nie mogła w pierwszej chwili uwierzyć, że coś takiego jest możliwe. Choć niczego mi nie brakowało źle spałem, może na skutek tego, że codziennie o świcie widziałem kolejną trumnę na ramionach sporej ilości ludzi niewiele mocniejszych od tego kogo nieśli. Na skórze nieboszczyka zaledwie czymś okrytego widniał tylko numer wypisany chemicznym ołówkiem.

KOM 8 [Pogrzeb polegał na wywróceniu zmarłego z trumny do dołu i przysypania go wapnem. Przez cały tydzień musiałem ostrożnie chodzić, by nie potknąć się o jakieś leżące ciało, kiedy szedłem do oficera służbowego. Ilość ~~z~~ pogrzebów dziennie wzrastała do około, dziesięć-

ciu.

Ja tymczasem zaznajaniałem się z moimi umundurowanymi "lotnikami" choćby pro forma. Żadnych rozkazów nie wydawałem, ale musiałem się dać im przynajmniej poznać. Komendę oddałem starszemu sierżantowi dla porządku. Kilku żołnierzy, może dla przypodobania się mi, przynosiło mi znalezione skorpiony i inne owady, między innymi olbrzymiego pajaka pustynnego, którego sfotografowałem. Wreszcie doniesiono mi o planowanym za dwa dni wymarszu do Krasnowodsk. Wpadło mi na myśl, że może udałoby mi się jakoś przersucić Terenię, bo były tu jakieś znajome jej panie, dzięki którym dowiedziałem się że Kasia nawiązała już kontakt z mężem. Natychmiast wziąłem zwolnienie by pojechać raz jeszcze do Buchary i starać się namawiać Terenię na przyjazd do Kerminie i Krasnowodsk. Kiedy przyjechałem do Buchary otrzymałem fałszywą wiadomość, że Tereni tu nie ma, co mnie prawie zalażało. Na szczęście odnalazłem ją i stanowczo przynagliłem, robiąc jej nadzieje na wyjazd do Perzji i donosząc jej o znajomych, których spotkałem w obozie w Kerminie. Wreszcie się zgodziła, co nie było łatwe, i znów pierwszym pociągami dojechalismy na dzień przed wyznaczonym wymarszem do Kerminie. Na gwałt powiadomiłem mego zastępcę o zamiarze przesznuglowania mojej "narzeczonej" i o moim zamiarze przebrania ^{jej} o ile się da, za któregoś z moich żołnierzy. Mimo dużych emocji i wątpliwości Terenia - żołnierz przemaszzerowała w kolumnie razem z innymi aż do portu w którym czekał na nas mały statek. Przy wejściu na statek stało dwóch sowieckich żołnierzy, liczących wchodzących na ponton statku żołnierzy. Terenia, z czapką zsuniętą na nos była ^{wśród} ~~jedną~~ z pierwszych żołnierzy, którzy weszli na statek. Wtedy odetchnąłem, bo wiedziałem, że pomyłka w liczbie o jednego żołnierza nie spowoduje wycofania całej eskadry z powrotem na ląd. Odczułem podobnie jak inni żołnierze dużą radość i ekscytację. Kiedy dobiliśmy do Pahlavi

zauważyłem jak kilku żołnierzy całuje ziemię wołając - o Ty Wolna Ziemio ! Niedaleko portu czekała na nas kolumna samochodów ciężarowych . Utkwiła mi w pamięci niezwykle karkołomna jazda tymi samochodami, prowadzonymi przez perskich kierowców - wariatów. Nie przypuszczałem, że da się przejechać przez 45 bardzo górzystych i krętych serpentyn z taką szybkością, z jaką ci kierowcy jechali. Kilka dni później w Teheranie powiedziano mi, że jeden z tych samochodów spadł w przepaść, ale ta wiadomość nie została oficjalnie potwierdzona.

W Teheranie znaleźliśmy kilku Polaków m.in. przyjaciela Kota Bnińskiego, który wręczył Tereni pewną ilość tumanów perskich jako zwrot części pieniędzy pożyczonych od Kota. Dzięki temu Terenia poznała kilka pań i czułem, że jest bezpieczna, podczas gdy ja zostałem przydzielony pod komendę "wing commanders", angielskiego, który miał całą naszą grupę wojskową dowieźć do Anglii. To był dla mnie i nie tylko dla mnie moment przełomowy i dużego zachwyta. Moi żołnierze raz po raz zbliżali się do mnie pokazując mi w zachwyte tutajże specjalizacje jak kiszmiarz, czyli rodziny i wiele innych artykułów spożywczych. Donoszono mi, że w sklepach i na targach nie ma słowa "nietu" czyli "nie ma". Można było kupić co się chce, nawet za ruble, których teoretycznie nie można było przewozić za granicę sowiecką. Ja na tym najgorzej wyszedłem, bo jako oficer przykładowy i przestrzegający prawa musiałem "zdeponować" około 3 tysięcy rubli władzom sowieckim. Pieniądze te miano mi wypłacić w Anglii po kursie oficjalnym. Dopominałem się o te pieniądze później kilkakrotnie z kwitem w rękę, ale nigdy ich nie otrzymałem.

POWYŻSZY TEKST POWSTAŁ NA PODSTAWIE WSPOMNIEN PIOTRA KOMIEROWSKIEGO SPISANYCH W ROKU 1984 i 1985 W LEBDS ORAZ NA PODSTAWIE RELACJI USTNEJ PIOTRA KOMIEROWSKIEGO ZAREJESTROWANEJ W 1988 r.